

*Tam, gdzie wyginą drzewa,
wkrótce potem zmieni się klimat,
wyczerpie się potem żyzność ziemi
-i nie zaglądamy w przyszłość.*

J.I. Kraszewski: *Noce bezsenne*, 1884



winieta

PISMO BIBLIOTEKI RACZYŃSKICH NR 1 (85) 2024 ISSN 1509-6343

w numerze:

Rok Jubileuszowy
Statut Jana Łaskiego
Karol Korab Brzozowski
Enigma
Poznaniana 2023
Wspomnienie o E.R. Dabertowej
Marian Walczak
Z pamiętnika bibliotekarki
Senioralna Wiosna
Koncerty w bibliotece
Pamięci Andrzeja Sikorskiego

Wanda Boguszevska, obraz z cyklu *Rogalińskie dęby*.
Wystawa malarstwa W. Boguszevskiej w Pracowni-Muzeum J.I. Kraszewskiego
(do 13 września 2024 r.)



Nowe Ateny

Katarzyna Kamińska
Dyrektor Biblioteki Raczyńskich

2 maja 2024 r. minęło 195 lat od otwarcia Biblioteki Raczyńskich, najdłużej działającej biblioteki publicznej w Polsce, ufundowanej przez hrabiego Edwarda Raczyńskiego. O jej początkach pisze Przemysław Matusik w *Historii Poznania: Raczyński sprzedał należącą od stu lat do rodziny kamienicę w południowej pierzei rynku (nr 62). Następnie kupił od miasta parcelę przy palcu Wilhelmowskim, wznosił na niej wspólny, klasycystyczny gmach z przeznaczeniem na bibliotekę swego imienia, a 22 lutego przekazał ją miastu Poznaniowi w wieczne posiadanie, zastrzegając, że z jej zbiorów korzystać będzie mógł każdy bez względu na stan, religię i narodowość [...]. Bibliotekę udostępniono publiczności 5 maja 1829 roku. [...]. Biblioteka Raczyńskich, od początku jedna z najważniejszych instytucji na kulturalnej mapie miasta, miała być w zamysłach swego twórcy zaczątkiem szerszego kompleksu przedsięwzięć przekształcających Poznań w Nowe Ateny... Miał więc hrabia Raczyński wizję rozwoju miasta poprzez kulturę i edukację. Wizję śmiałą, wydawałoby się niemożliwą do zrealizowania w warunkach zaborów i nieobecności Polski na mapach Europy. Kolejne losy Biblioteki były zmienne. Najtragiczniejsza w skutkach okazała się dla niej II wojna światowa, bo w 1945 r. spłonął jej budynek i 90% księgozbioru. Jednak w 1949 r. rozpoczyna się organizowanie sieci filii Biblioteki, a dwa lata później otwarta zostaje siedziba przy ul. Armii Czerwonej, dziś Św. Marcin. Historyczny gmach odbudowano w 1956 roku. Potem sukcesywnie zwiększa się liczba filii, Biblioteka zyskuje status biblioteki naukowej, wzbogaca się o trzy placówki muzealne i pałac w Sapowicach. Lata 90. i początek XXI w. to czas nietłumionej transformacji ustrojowej i trudności finansowo-or-*

ganizacyjnych, ale udaje się doprowadzić do rozbudowy siedziby głównej Biblioteki. Nowe jej skrzydło zostaje otwarte w 2013 roku. W tym samym czasie rozpoczyna się rewolucja w sposobie funkcjonowania bibliotek, związana z ogromnymi zmianami technologicznymi, cywilizacyjnymi i społecznymi. Obok nadal istotnych zadań związanych z gromadzeniem i udostępnianiem książek, biblioteki zaczynają się przekształcać w interdyscyplinarne centra kultury. Biblioteki Raczyńskich procesy te nie ominęły. Czym jest ona dzisiaj? Wiele mówią o niej liczby. Jej struktura to 40 placówek (w tym siedziba główna, 35 filii, trzy muzea i Dom Literatury) oraz 11 księżkomatów. W 2023 r. do Biblioteki zapisanych było 70 241 czytelników, którzy odwiedzili ją 598 645 razy i wypożyczyli 1 396 301 pozycji. Biblioteka i jej filie zorganizowały 2 312 wydarzeń (w tym kilkadziesiąt online), z których skorzystało 39 791 uczestników wydarzeń stacjonarnych i 23 585 odbiorców online. Udzielono blisko 23 tys. informacji, a liczba jednostek zbiorów wyniosła 1 851 739. Oprócz tej imponującej bieżącej działalności, „Raczyński” prowadzi również działalność naukową oraz muzea literackie. Organizują wystawy, koncerty, spotkania autorskie, a nawet przedstawienie teatralne. Spełnia się zatem wizja Nowych Aten hrabiego Raczyńskiego, który swoją działalnością zmienił oblicze Poznania, a dziś zmienia je Biblioteka. Jest to możliwe dzięki ludziom, którzy tworzą społeczność Biblioteki: pracownikom, współpracownikom oraz czytelnikom. To wielotysięczna rzesza, bez której Biblioteka Raczyńskich nie byłaby tak wyjątkową instytucją, i której z okazji jubileuszu 195-lecia składam najlepsze życzenia i gratulacje.

Fot.: Paulina Nowak.

Statut Jana Łaskiego – o książce z kilku punktów widzenia

Wojciech Graś
Dział Zbiorów Specjalnych Biblioteki Raczyńskich

Starodruki, jako kategoria książek wydrukowanych od czasów Gutenberga do końca 1800 r., są szalenie interdyscyplinarnym polem badawczym. Wiele materiału znajdzie przy nich zarówno filolog (polski i klasyczny), historyk, jak i historyk sztuki. Znakomitym przykładem dzieła, które w znacznym stopniu łączy te trzy dziedziny, jest właśnie wydany w 1506 r. Statut Jana Łaskiego. Spójrzeć na niego można przynajmniej z trzech różnych punktów widzenia.

PRAWO I ZBIÓR PRAWA

Pierwszy z nich sprowadza się do, wydawałoby się, banalnego pytania: co to właściwie jest za książka? Otóż jest to pierwszy drukowany i zatwierdzony przez króla zbiór prawa polskiego. Pewnym paradoksem dla czytelnika może być fakt, że jest to jednocześnie zbiór prawa oraz nadany przez Aleksandra Jagiellończyka przywilej. Zawilość ta bierze się z praktyki ówczesnego prawodawstwa, której częstym przykładem było potwierdzanie przez władców aktów prawnych nadanych przez poprzedników. Nie inaczej jest w przypadku Statutu Łaskiego. Jego oryginalny tytuł brzmi: *Commune Incliti Poloniae regni privilegium constitutionum et indultu-*

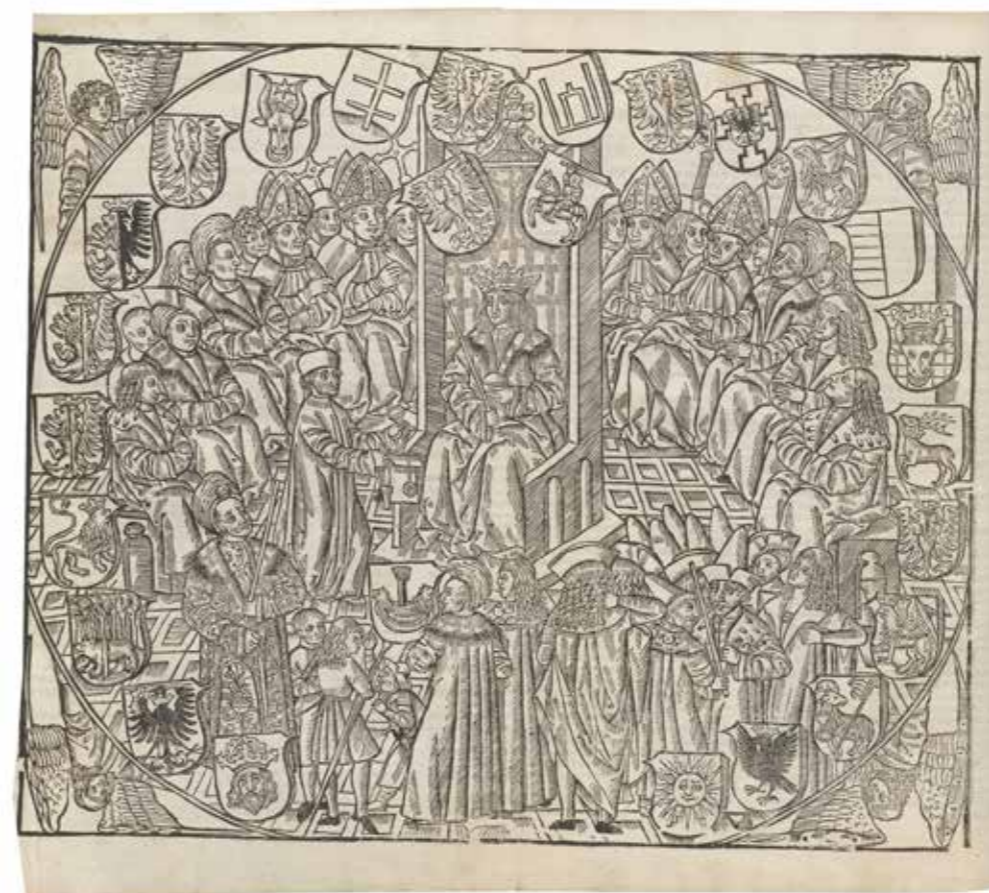


um publicitus decretorum approbatorumque, który można przetłumaczyć następująco: *Powszechny sławnego Królestwa Polskiego przywilej zatwierdzonych publicznie konstytucji zezwoleń i dekretów*. Jest to obszerny tom zawierający szereg różnych przywilejów, konstytucji, traktatów pokojowych, ale również regulacji dotyczących stosunku władzy królewskiej do władzy kościelnej. Poza tymi aktami, pozostającymi w ścisłej jurysdykcji monarchy, w zbiorze zawarto również kluczowe dla funkcjonowania miast Prawo Magdeburgskie oraz dodano dzieło *Summa utriusque iuris (Summa obojga praw)* Mistrza Raymunda będące, w pewnym uproszczeniu, rodzajem podręcznika stosowania prawa.

GENEZA STATUTU

Głównym powodem powstania tego zbioru były rosnące potrzeby administracji wzmacniającego się w początku XVI w. królestwa polskiego. Uchwalane do tej pory prawa funkcjonowały bowiem w formie rękopiśmiennych dyplomów oraz ich ewentualnych odpisów, co w znacznym stopniu i w oczywisty sposób ograniczało dostęp tym, którzy chcieli się z nimi zapoznać. Nie bez znaczenia były też pewne „zabytki” w systemie prawnym ówczesnej Polski, objawiające się różnym prawem obowiązującym w zależności od regionu, np. Statut wielkopolski i Statut małopolski (były to pozostałości po zakoń-

czonym niemal dwieście lat wcześniej rozbięciu dzielnicowym). Wobec tych okoliczności w 1505 r. sejm w Radomiu postanowił, iż należałoby taki zbiór prawa opracować, a jego egzemplarze rozesłać do kapituł katedralnych oraz starostów ziemskich. Sejm radomski zakończył swe obrady 31 maja 1505 r., natomiast druk Statutu ukończono już z końcem stycznia 1506 roku. Wielce prawdopodobne jest więc to, że prace nad zebraniem tak wielu rozproszonych dokumentów musiały rozpocząć się znacznie wcześniej. *Spiritus movens* całego przedsięwzięcia był ówczesny kanclerz Jan Łaski, od którego nazwiska wzięła się zwyczajowa nazwa zbioru. Człowiek ten, mimo że nie posiadał formalnego wykształcenia prawniczego, zdołał ze swoimi współpracownikami dokonać najważniejszej kodyfikacji prawa polskiego w XVI wieku.



GRAFIKA I PROPAGANDA

Statut Łaskiego poza swoim ogromnym znaczeniem prawnym był także wdzięcznym przekaznikiem królewskiej propagandy. Wyraża się ona najwyraźniej w zastosowanych w druku kunsztownych drzeworytowych grafikach. Spośród nich należy przede wszystkim wyróżnić odbite na pełnej karcie papieru wyobrażenie polskiego sejmu (il. 1). Grafika ta jest głównym punktem programu politycznego wyrażonego na kartach Statutu. Przedstawiono na niej scenę nadania aktu prawnego (w domyśle samego Statutu Łaskiego) przez króla w obecności posłów oraz senatorów. Całość sceny skomponowana jest na koncentrycznych sferach, co silnie unaczynia wciąż wówczas dominujące wpływy sztuki gotyckiej. Centralną postacią na grafice jest Aleksander, do którego podchodzi kanclerz Łaski, identyfikowalny przez insygnium swej władzy tj. tłok pieczętny wiszący na jego szyi, dodatkowo pod jego stopami umieszczono wyobrażenie herbu Korab, co tym bardziej pozbawia patrzącego wątpliwości co do personaliów postaci. Wokół fotelu tronowego zasiadają senatorowie, wśród których wyróżniają się usytuowani po

prawicy króla dwaj arcybiskupi: gnieźnieński oraz lwowski, z kolei po lewej stronie monarchy przedstawieni są dwaj biskupi (jest to czytelne rozróżnienie, bowiem arcybiskupi mają za sobą umieszczone krzyże, biskupi zaś pastorały). Wyjątkowość przedstawienia sejmu na tej drzeworytowej grafice objawia się natomiast w lewej dolnej części kompozycji. Ukazuje ona postać marszałka trzymającego laskę, a także dwóch jego podwładnych z mieczami, którzy uspokajają stojącą przed nimi postać szlachcica wymachującego rękami. Jest to czytelny komunikat oznaczający, że państwo i jego sejm działają stale i w niezakłócony sposób, pomimo drobnych waśni i problemów. Dalszy plan grafiki zajmują stojące za senatorami postacie reprezentujące niższą izbę parlamentu, natomiast wzrok przykuwa sfera tarcz herbowych dookoła całego przedstawienia. Wśród nich znajdują się herby Polski oraz Litwy, herby poszczególnych ziem Królestwa oraz herby rodowe obu linii Jagiellonów (podwójny krzyż, którego używał Jagiełło, jak i wykorzystywane przez Witolda Słupy Gedymina). Poza nimi pojawiają się również mniej oczywiste znaki herbowe, takie jak herby Prus Królewskich (zaanektowanych po wojnie trzynastoletniej) oraz herb Prus Zakonnych będących polskim lennem. Cały umieszczony na grafice program heraldyczny pełnił funkcję przekazu politycznego zarówno w kontekście polityki krajowej, jak i zagranicznej.



Oprócz grafiki sejmowej zastosowano dwukrotnie drzeworyt ze sceną zatwierdzenia prawa przez Aleksandra w obecności idącego w jego stronę kanclerza Łaskiego (il. 2). Na uwagę zasługuje również pierwsze drukowane przedstawienie czterech patronów królestwa: św. Wacława, św. Wojciecha, św. Stanisława oraz św. Florianiana. Grafika ta w połączeniu z pierwszym drukowanym tekstem pieśni *Bogurodzica* (ówcześnie, co ważne, przypisywanej św. Wojciechowi) podkreśla opiekę roztaczaną nad królestwem i jego prawami ze strony świętych patronów.

PAPIER I PERGAMIN

Druga strona spojrzenia na dawną książkę zawiera się w przekonaniu, że stary druk to nie tylko zawarta w nim myśl, to również jego fizyczna forma, za którą odpowiedzialny był w tym przypadku krakowski drukarz Jan Haller. Ten bogaty kupiec, handlujący wieloma towarami, w tym również książkami, sam postanowił w pierwszych latach XVI w. zająć się „czarną sztuką”. Jednym z pierwszych druków, który wyszedł z jego oficyny, był właśnie Statut Łaskiego. Stał się on dla Hallera swoistą przepustką do dalszego rozwoju. Na jego druk krakowski impresor otrzymał od króla przywilej, który stanowił, że tylko Haller ma prawo to dzieło drukować, jak i sprzedawać, a wszelkie próby kopiowania Statutu

były zakazane pod groźbą surowej kary. Sam typograf poza chroniącym go przywilejem zastosował dodatkowe zabezpieczenie: autorski, ozdobny drzeworytowy sygnet drukarski. Bardzo trudno jest podawać przypuszczalny nakład Statutu. Spod drukarskiej prasy wyszło prawdopodobnie około trzysta egzemplarzy, z czego około pięćdziesiąt odbito na pergaminie. Tworzywo to, dość unikatowe jak na drukowaną książkę, miało w istocie bardzo konkretne zastosowanie w przypadku tak użytkowego, jak zbiór praw, druku. W przeciwieństwie do powszechnie stosowanego w drukarstwie papieru był bowiem znacznie bardziej wytrzymały i z tego powodu wykorzystywano go chętnie, drukując na nim mszały lub jedynie używany w każdej liturgii tekst kanonu.

LOSY EGZEMPLARZY

Trzecia perspektywa to spojrzenie na książkę jako wolumin z własną historią. W różnych instytucjach w Polsce i na świecie zachowało się blisko sto egzemplarzy omawianego dzieła. W zbiorach Biblioteki Raczyńskich znajdują się cztery papierowe egzemplarze Statutu, wszystkie w XVI-wiecznej oprawie. Każdy z nich ma swoje wyjątkowe cechy fizyczne, dokumentujące stan woluminu od momentu opuszczenia drukarni. Niestety każdy z przechowywanych w Bibliotece Raczyńskich egzemplarzy posiada również pewne braki, które w przypadku wszystkich tych woluminów sprowadzają się do nieobecności frontyśpisu z umieszczoną na nim grafiką z Aleksandrem i kanclerzem Łaskim, a na odwrocie drzeworytem z czterema patronami Królestwa. Pod kątem proveniencyjnym dwa egzemplarze trafiły do zbiorów Biblioteki jeszcze w XIX w., a na pewno przed 1885 r., ponieważ są odnotowane w wydanym wtedy katalogu autorstwa Maksymiliana Sosnowskiego i Ludwika Kurtzmanna. Dwa kolejne natomiast znalazły się w zbiorach Biblioteki albo tuż przed wybuchem II wojny światowej, albo już w jej trakcie.

Tylko w przypadku jednego woluminu (sygn. III.J.a.6) jesteśmy w stanie prześledzić jego losy już od końca XVI w. aż do naszych czasów. Otóż na wyklejce górnej okładziny, a także na pierwszej zachowanej karcie, znajdują się wpisy własnościowe Galla Chraplewskiego (1555–1610), doktora medycyny oraz lekarza króla Zygmunta III Wazy, który, jak głosi zachowana zapiska, zlecił opracowanie druku 20 listopada 1589 roku. Następny wpis odnosi się do osoby Wojciecha Mielńskiego, który był opatem klasztoru Kanoników Regularnych w Trzemesznie w latach 1586–1621. Po śmierci Mielńskiego wolumin przeszedł na własność biblioteki klasztornej, co poświadcza kolejny wpis, i był tam przechowywany aż do 1831 r., w którym władze pruskie dokonały kasaty klasztoru. To stamtąd, zapewne staraniem Edwarda Raczyńskiego, trafił on do zbiorów ufundowanej przez niego biblioteki.

Literatura:

B. Miodońska, *Przedstawienie państwa polskiego w Statucie Łaskiego z r. 1506*, „Folia Historiae Artium” 5 (1968), s. 19–69.
W. Uruszczak, *Commune incliti Poloniae Regni privilegium constitutionum et indultuum. O tytule i mocy prawnej Statutu Łaskiego z 1506 roku*, [w:] *Prace poświęcone pamięci Adama Uruszczaka*, Kraków 2006, s. 115–135.

Ilustracje pochodzą z egzemplarzy Statutu Jana Łaskiego w zbiorach Biblioteki Raczyńskich.



Biblioteka
Raczyńskich

Posnaniana 2023

KONKURS O NAGRODĘ IM. JÓZEFA ŁUKASZEWICZA

Nagroda im. Józefa Łukaszewicza

Jury w składzie: Katarzyna Kamińska – przewodnicząca oraz członkowie: Izabella Barańska, Piotr Grzelczak, Grażyna Piskorz, Piotr Pokora, Kinga Przyborowska, Wiesław Ratajczak, Grażyna Wrońska przyznało Nagrody im. Józefa Łukaszewicza za najlepsze posnaniana wydane w 2023 roku:

Pawłowi Kowalowi, autorowi książki *Abakanowicz. Trauma i sława* (Wydawnictwo Agora, Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa)

Zofii Leitgeber i Katarzynie Stelmachowskiej, autorkom książki *Poznańskie Winiary 1939–1945. Losy winiarczyków* (Wydawnictwo Miejskie Poznań, Poznań)

Małgorzacie Wryk, autorce książki *Opowieść mojej mamy. Ocalić rodzinną historię od zapomnienia* (Społeczny Instytut Wydawniczy Znak; Horyzont, Kraków).

Ponadto honorowe wyróżnienie przyznano Muzeum Narodowemu w Poznaniu za publikację katalogów wystaw.

Jury postanowiło przyznać również nagrodę specjalną dla publikacji wydanej w latach 2021–2022 w związku z brakiem możliwości zorganizowania konkursu w latach 2022–2023. Nagrodę specjalną otrzymał Przemysław Matusik za czterotomową publikację *Historia Poznania* (Wydawnictwo Miejskie Poznań, Poznań).

Konkurs odbywa się pod Honorowym Patronatem Prezydenta Miasta Poznania Jacka Jaśkowiaka.





Gdy kompasem jest Ojczyzna.

O poznańskich wątkach w życiu Karola Korab Brzozowskiego

dr Magdalena Komosa
Dział Zbiorów Specjalnych Biblioteki Raczyńskich

W Roku Zygmunta Miłkowskiego *vel* Teodora Tomasza Jeża, którego pamięć Biblioteka Raczyńskich uświetni specjalną konferencją naukową jesienią, nie godzi się nie wspomnieć o bliskiej Jeżowi innej postaci Wielkiej Emigracji, jego przyjacielu Karolu Korab Brzozowskim – tak jak i on – oddanemu sprawie polskiej emisariuszu, żołnierzowi, człowiekowi pióra. Tyle że to nie jedyny pretekst, by Miłkowski na chwilę ustąpił w „Winiecie” miejsca Brzozowskiemu. Bo oprócz rzeczonyj przyjaźni, jaka połączyła tych dwóch patriotów i podróżników, inną jeszcze okolicznością jest przypadająca na obecny rok 120. rocznica śmierci Karola Brzozowskiego, jak i kolejny fakt, że w zbiorach specjalnych Biblioteki Raczyńskich znajduje się jeden z nielicznych rękopisów osławionej sztuki teatralnej *Ak-Baby* o orientalnie brzmiącym tytule *Malek*.

POMIĘDZY ŚWIATAMI

Ak-Baby? Mówimy o tej samej postaci? W rzeczy samej! Już ów pseudonim: Ak-Baba, co znaczy: Biały Ojciec, czy inny: Czarny Strzelec, a wspomnijmy jeszcze o określeniach, jakimi darzyli Brzozowskiego mu współcześni: poeta-farys, „głowa z brodą lirnika” – zapowiadają historię o człowieku nieszablony, z niezwykłą harmonią godzącą powinności (!) rasowego romantyka z powinnościami szlachetnego pozytywisty, będącego jednocześnie: żołnierzem i podróżnikiem, dyplomata i plantatorem, poetą i telegrafistą, tłumaczem i tułaczem, kartografem i emigrantem. Mężem Eulalii i ojcem Stanisława (tego od *Legandy Młodej Polski*) oraz... Marii, Jadwigi, Wincentego, Berty i Huberta. Szukając więc klucza do tej nietuzinkowej postaci, pójdźmy tropem sztuki *Malek*, która z perspektywy roku 2024 objawia się niezwykle symbolicznie zarówno na tle twórczego dorobku Brzozowskiego, jak i kolei jego życia.

NA SCENIE

Na poznańskiej scenie *Malek* – według aktualnej kweryndy badaczy – zagościł po kilku dobrych sezonach od czasu swojej lwowskiej premiery, która miała miejsce 14 listopada 1883 roku. „*Malek*” przedstawia się nam jako utwór prawdziwego talentu i szczerego natchnienia. Zajmie on w piśmiennictwie dramatycznym wybitne miejsce, a każdy teatr polski, niekępowany warunkami cenzuralnymi, ubiegać się powinien o posiadanie go w swoim repertuarze – prawil w „Gazecie Lwowskiej” w popremierowej recenzji krytyk o pseudonimie „Orgon”, czyli Zygmunt Sarnecki, ceniony ówczesny literat, oddany Muzie Melpomenie. Na deskach poznańskiego teatru sztuka ta zagościła najpewniej w 1887 r. pod nazwą *Moskale w Krymie* oraz w 1888 r. już pod swoim najbardziej znanym tytułem *Malek*. Za czym sprawstwem objawiła się ona poznańskiej publiczności – nie wiadomo. Ówczesnym dyrektorem Teatru Polskiego był Franciszek Dobrowolski, a dzięki egzemplarzowi suflerskiemu wiemy ciut więcej o okolicznościach jej wystawienia w roku 1888. Niezawodna dłoń suflera Chojnackiego na ostatniej stronie rękopisu kreśli te oto słowa: *Suflowałem w Poznaniu na benefis p. Popławskiego. Dnia 26/I [1]888. Drugi raz dnia 29/I Chojnacki. Skończyło się o 3/4 11. Drugi raz o 10tej minut 20.* Wiemy, że sztuki na aktorskie benefisy są dobierane pieczołowicie i nieprzypadkowo. Taka adnotacja suflera na egzemplarzu scenicznym jest więc niezwykle cenna i świadczy o szczególnym miejscu pięcioaktowej tragedii Brzozowskiego w ówczesnym kanonie. Józef Nikodem Popławski słynął ze świetnych charakterystyk, doskonałej dykcji, jak i przy tym niescenicznego, bo niskiego, wzrostu, który był zresztą jego przekleństwem. Brylował w rolach charakterystycznych, co rozślawiło go jako aktora zdolnego i inteligentnego. W poznańskim *Maleku* Popławski wcielił się w rolę znienawidzonego Gubernatora Wołogdy, gdzie w 20 lat po „zawojowaniu Krymu przez Rosyan” rzecz jest osadzona. Postać ta i nakreślona w utworze sytuacja gwałtem przesiedlonych do guberni wołogodzkiej krymskich Tatarów staje się istotnym kontekstem dla jego pierwotnego tytułu, który brzmiał *Pieśń zemsty*. A zatem – finalnie – tragedia, najpierw była poematem, który Brzozowski stworzył, będąc na swojej „pierwszej” emigracji w Dreźnie w roku 1848. I przy tym wątku warto się zatrzymać, gdyż to, jak konstytuował się *Malek*, zanim zaistniał na scenie, obrazuje dość symbolicznie drogę mentalną i twórczą samego Brzozowskiego oraz – co może być zaskakujące – jego ciekawe związki z Wielkopolską i Poznaniem.

PRZYSTANEK: POZNAŃ

Jako syn szlachcica podolskiego, znajdującego się na gospodarce rolnej i leśnej, a przy tym żołnierza wojsk napoleońskich i powstańca listopadowego, Karol wychowywany był w dużym szacunku do natury i w harmonii z jej duchem. Zanim pojął naukę czytania, znakomicie dosiadał koni, znał gatunki drzew i ptaków, sprawnie pływał i wykazywał łapczywe zafascynowanie światem wokół. Z czasem do rozwijającej się w nim żyłki łowczego doszła wrażliwość na słowo. Pasja życia i żelazne mięśnie uczynią z niego w końcu żołnierza i jednocześnie barda, i obie te namiętności już na zawsze będą go określać. Pięknie rysy jego sylwetki twórczej kreśli w swojej broszurze *Nieśmiertelni. Fotografie literatów lwowskich*

(1898) Antoni Chołoniewski: *Wśród modnej literackiej druzyny, której twórczość wymaga koniecznie spokojnych i kwintnych ramek, robi wrażenie obozowego barda, piszącego wiersze z pistoletami w zanadrzu, w atmosferze krwi i prochu. W każdym razie nie czerpał natchnienia w magnetycznym blasku miesiąca, a w smutnym nastroju zakochanego serca. Jego poezja brzmi, jak orgia wojenna, dzika, męska i żywiołowa... W jej rytmie slychać huk wystrzałów, w dźwięku błysk stali, a w treści zmaganie się olbrzymów.* Krytyk objął tym zdaniem sześćdziesięcioletnią twórczość Brzozowskiego, warto więc cofnąć się na chwilę do momentu jego debiutu. Literacko autor *Maleka* zaistniał w wieku 23 lat i gdzie? W Poznaniu!, wydając tu nakładem księgarni Żupańskiego swój zbiorek *Pieśni ludu nadniemeńskiego z okolic Aleksoty* (1844), stanowiący przekłady piosenek litewskich. Oprócz walorów literackich, debiut Brzozowskiego przyczynił się do umocowania się języka litewskiego wśród samych Litwinów, gdyż – jako nieurzędowy – nie mógł być językiem litewskich poetów. Brzozowski, przywołując w swoim tomie także oryginalne wersje pieśni, utrwalił je jednocześnie w pamięci samych Litwinów. A do Wielkiego Księstwa Poznańskiego przybył wraz z Teofilem Lenartowiczem, uciekając z Kongresówki po zdekonspirowaniu przez namiestnika Paskiewicza studenckiego spisku mającego prowadzić do wybuchu zbrojnego powstania. Franciszek Rawita-Gawroński na łamach „Tygodnika Polskiego” (3/1899) pisał o Księstwie Poznańskim przy okazji kreślenia jubileuszowego biogramu Brzozowskiego następująco: *już w roku 1843 znalazł się [Brzozowski – przyp. M.K.] w Księstwie Poznańskim, które wówczas znajdowało się w pełni swego rozkwitu umysłowego: Moraczewski, Libelt, Cieszkowski stali na czele społeczeństwa; Raczyński – rzadki przykład pięknej ofiarności publicznej – dopomagał dzielnie do rozwoju literatury ojczystej. Nic przeto dziwnego, że zapalony młodzieniec powiększył w Poznaniu grono entuzjastów.* W istocie, debiutancki tomik odznacza się cechami, które na różnych etapach życia pisarza – emigracyjnym i lwowskim – będą zmieniać tylko swoje natężenie, poddając się jedynie wyznacznikom estetyki gatunkowych. I tak na przykład, w lasach Anatolii powstanie jeden z jego najbardziej znanych poematów-powiastek *Noc strzelców w Anatolii*; w Bułgarii i Macedonii, gdzie opalony niczym Beduin będzie Brzozowski „drurował” niezmiernie poaciej obcej ziemi jako inżynier-telegrafista, pośród matematycznych obliczeń zapisze liczne wiersze, m.in.: *Kioczek, Sen w Bałkanach* czy osławione *Gazelle*; na plantacji w Feredjacie nad Tygrem powstaną jego kolejne przekłady, tym razem Księgi Hioba; a wieńcząc tułaczę życie *Malekiem*, serią scenicznych dramatów rozpocznie we Lwowie ostatnią prostą swojego życia. *Pieśni ludu...* wydane w Poznaniu zapowiedziały więc ogromny potencjał fascynacji i jednocześnie pokory Brzozowskiego wobec tego, co obce, i szukania języka dla owej inności przy zachowaniu mocno określonej tożsamości. Mimo tworzenia w izolacji od rodzimej kultury, Brzozowski wiedział bowiem, że gdziekolwiek rzuci go los emigranta, jego kompasem jest Ojczyzna. Kreśląc swoje życie niczym wariację: z rozmachem, fantazją i poczuciem narodowej misji, miał w pamięci to nieoczekiwane wypowiedziane przez ojca zdanie, które ten mu rzekł przed ucieczką w Poznańskie. Ojciec Wincenty, przypinając synowi krzyż Legii Honorowej i polski Virtuti Militari, miał

powiedzieć: *Synu! Dziad twój konfederata, czym był twój ojciec, spojrzysz na jego piersi – pamiętaj, nie zrób wstydu dziadowi i ojcu twojemu.*

POMIĘDZY WIERSZAMI

Malek, napisany w 1848 r. w Dreźnie pierwotnie jako poemat *Pieśń zemsty*, domyka kłamrą pięcioletni pobyt Brzozowskiego w Poznaniu i tamtym momentem zapowiada jego trwającą trzy dekady tułaczkę, której topografia obrazuje również trzydziestoletnie ewoluowanie jego pióra z form poetyckich ku scenicznemu. Znamienna to transpozycja, o której śmiało można by rzec, że symbolizuje przejście Karola Brzozowskiego w Ak-Babę. *Pieśń zemsty* *vel Malek* Brzozowski pisze bowiem jako przegrany powstaniec wielkopolski, który fartem uszedł wojskom pruskim spod Sokołowa. Powstanie poznańskie było bowiem efektem rewolucyjnej fali, jaka przetoczyła się wówczas przez Europę, znaną nam pod nazwą Wiosny Ludów. Brzozowski walczył w nim, obejmując – jako wyćwiczony w podlaskich lasach strzelec – dowództwo nad plutonem strzelców, w okolicach Wrześni i Miłosławia. Powstańcem zostanie również w 1863 r., ale już jako emigrant, mający za sobą m.in. dekadę działalności dyplomatycznej na Bliskim Wschodzie i znakomicie znający się z Jeżem, pod którego dowództwem właśnie będzie walczył pod Kostangalią w Rumunii, chcąc dostać się do polskich powstańców. Pamiętamy jego pożegnanie z ojcem, prawda? Gdy wyruszał z kolei na powstanie styczniowe, w Konstantynopolu żegnał go wizer Faud-Pasza. Miał wtedy Ak-Babie powiedzieć: *Nie myślę ci jakichkolwiek robić uwag ani odradzać. Wiem, jakim wielkim i świętym hasłem jest dla was ojczyzna. Idź z Bogiem. A gdyby znowu miały zmusić cię okoliczności szukać na obczyźnie gościnności, powracaj do Turcji, a znajdziesz zawsze i gościnność, i pracę.* Brzozowski do lat 80. będzie aktywnie tworzył i pracował w Turcji. Mimo dziesiątek wierszy zamieszczanych przez polskie czasopisma, wielu osobnych wydań i mnogości fragmentów prozy oraz publikacji o Wschodzie prawdziwy triumf przyniesie mu właśnie *Malek*. Tragedia o isticie szekspirowskim zakończeniu, z postaciami z krwi i kości, którym obce są posągowe gesty i mdlenie pod „drzwiami cara”... Wspaniale Brzozowski dialoguje z romantyczną ideą czynu, znakomicie pokazuje wielowymiarowe oblicze zemsty i pozostawia odbiorcę z mnóstwem pytań. Nie ma ich tylko ten, który dokonuje bezwzględnej aktu mordy na swym ciemiężcy, mimo że w decydującym momencie dowiadyduje się, że pozbawia on życia swego ojca: Malek. Czy Malek w oczach widzów pozostanie tylko ojcobójcą, czy jednak wybawcą rodu? Ale dlaczego wcześniej truje – mimo bliskiej nadziei na wolność – swoich bliskich: matkę, przyrodnią siostrę Majumę i złamanego zesłaniem niedosłego przywódcę powstania Omara? I w końcu po czyjej stronie jest los, skoro i Malek w ostatniej scenie zostaje pozbawiony życia? Rękopis suflerski *Maleka* przenosi nas w świat pełen kontrastów, w którym bohaterowie mówią tak uniwersalnie, językiem tak żywym i nośnym, jakby czas, który dzieli nas choćby od poznańskiego benefisu Popławskiego w roli ciemiężcy-Gubernatora, nie istniał... A to z kolei świadczy o ponadczasowych walorach pisarstwa Karola Korab Brzozowskiego.

Ilustracja: Jan Styka, portret Karola Korab Brzozowskiego, ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie.

Pracownicy polskiego Biura Szyfrów w walce z Enigmą w świetle zachowanej dokumentacji

dr Maksym Kempański
Centrum Szyfrów Enigma/Poznańskie Centrum Dziedzictwa

Centrum Szyfrów Enigma, zarządzane przez Poznańskie Centrum Dziedzictwa, otwarte zostało w Poznaniu we wrześniu 2021 roku. Od początku swej działalności pozyskiwało i udostępniało materiały archiwalne, zdjęcia oraz relacje świadków historii. Zebrane listy, fotografie i dokumenty dostarczają informacji o działalności i losach polskich kryptologów i wojskowych. By zapewnić jak najlepsze warunki przechowywania tych bezcennych materiałów, zostały one – dzięki życzliwości Dyrekcji i pracowników Biblioteki Raczyńskich – zdeponowane w tejże instytucji. Powyższe źródła dotyczą zarówno życia osobistego bohaterów historii złamania szyfru Enigmy, jak i ich działalności kryptologicznej i wywiadowczej. Szczególną rolę odgrywają tu częściowo zachowane dokumenty tzw. Ekspozytury „300”, o równie wyjątkowej, co ich wartość, historii odnalezienia. Skrzynia z tymi materiałami przeleżała dwadzieścia lat pod ziemią, odkryta przez Alfreda Piechowiaka i Mariusza Borowiaka w 1997 r., a jej zawartość ujawniona została stosunkowo niedawno. Zbiór przechował pracownik polskiego wywiadu major Edmund Piechowiak, ojciec Alfreda. Ekspozytura „300” funkcjonowała w ramach struktur wywiadowczych Naczelnego Wodza Sił Zbrojnych na Zachodzie, opierając się na działalności tajnego polsko-francuskiego ośrodka kryptologicznego „Cadix” w okupowanej Francji. Pod dowództwem ppłk. Gwido Langera i mjr. Gustawa Bertranda m.in. Marian Rejewski, Henryk Zygałski i Jerzy Różycki dokonywali dekryptażu wiadomości z nasłuchu oddziałów Wehrmachtu, niemieckiej policji oraz SS z terenów Europy i Afryki Północnej. Z zachowanych materiałów na szczególną uwagę zasługuje sprawozdanie na temat polskich metod i historii rozwiązania szyfru Enigmy z lat 1930–1940. Raport sporządzony przez Mariana Rejewskiego i Henryka Zygałskiego zawiera informacje potwierdzające decydujący wkład polskiej strony w łamanie szyfru Enigmy.

ZACZĘŁO SIĘ W POZNANIU

Trzeba podkreślić, że cała historia zwycięstwa nad tą niemiecką maszyną szyfrującą zaczęła się w Poznaniu, a jego inicjatorami byli ludzie związani z miastem i regionem. Głównym pomysłodawcą był Maksymilian Ciężki, urodzony w Szamotułach Powstaniec Wielkopolski, specjalista w dziedzinie łączności. Po służbie m.in. w poznańskiej Cytadeli i Centralnej Radiostacji w Warszawie, trafił w 1923 r. do radiowywiadu. Awansował tam później na kierownika referatu BS4 zajmującego się szyframi niemieckimi i na zastępcę szefa Biura Szyfrów. Dzięki pani Joannie Kaczmarczyk, Centrum Szyfrów Enigma pozyskało unikatowe zdjęcia i listy Maksymilia-



na Ciężkiego pisane do rodziny z czasów niewoli w obozach jenieckich i pobytu w Wielkiej Brytanii, z której już nigdy do Polski nie wrócił.

Maksymilian Ciężki wraz z inż. Antonim Palluthem oraz kryptologiem Wiktorem Michałowskim w 1928 r. podjęli się zadania uważanego za niewykonalne, czyli złamania nowego szyfru, generowanego przez maszynę Enigma. Po samodzielnych, nieudanych próbach ataku na szyfr zorientowali się, że takiemu wyzwaniu mogą podołać tylko najtęższe umysły matematyczne. Kluczową była decyzja o zorganizowaniu w Poznaniu w 1929 r. specjalnego kursu szyfrów dla wybranych studentów matematyki Uniwersytetu Poznańskiego. Trzeba podkreślić, że do czasu wynalezienia szyfrów maszynowych atak na szyfr odbywał się metodami językoznawczymi. Ówczesnymi kryptologami byli przede wszystkim lingwiści i poligłoci. Enigma reprezentowała nową metodę szyfrowania, gdzie kluczem było odpowiednie ustawienie urządzenia. Składał się na to dobór wirników, ich kolejność, ustawienie pierścieni, łącznicy oraz dobór każdorazowo klucza indywidualnego. Ponadto każde wciśnięcie klawisza powodowało obrót wirnika i zmianę drogi, którą płynął prąd. Liczba możliwych kombinacji była tym samym niewyobraźalnie wielka. Z tego względu polskie Biuro Szyfrów postanowiło zaangażować do tego wyzwania matematyków, co było podejściem na ówczesne czasy nowatorskim.

PRZEŁOMOWY SUKCES REJEWSKIEGO

Po kursie utworzono w 1929 r. w Poznaniu tajną filię polskiego Biura Szyfrów, w której swoją karierę kryptologiczną zaczęli właśnie: Marian Rejewski, Henryk Zygałski i Jerzy Różycki. Mieściła się w budynku Intendencji Wojskowej w miejscu obecnego gmachu Collegium Martineum, w którym siedzibę ma Centrum Szyfrów Enigma. Marian Rejewski, syn bydgoskiego kupca, chcąc pierwotnie związać swą karierę z matematyką ubezpieczeniową, wyjechał w 1929 r. na studia podyplomowe do Getyngi. Tym samym dołączył do zespołu jako ostatni, dopiero po powrocie do Poznania i objęciu asystentury u swego mentora prof. Zdzisława Krygowskiego.

W okresie poznańskim kryptologom nie zajmowali się Enigmą, ale pracowali nad rozszyfrowaniem niemieckich szyfrów ręcznych. Zdobyte na tym polu doświadczenie okazało się niezbędne do podjęcia późniejszej pracy. We wrześniu 1932 r. poznańska ekspozytura Biura Szyfrów została zlikwidowana,

a trójka kryptologów przeniesiona do siedziby Sztabu Głównego Wojska Polskiego. Wtedy też kpt. Maksymilian Ciężki przedstawił Marianowi Rejewskiemu problem Enigmy.

Tu trzeba wspomnieć, że pewnego wsparcia w tym względzie udzielił francuski sojusznik. Dowódca sekcji „D” (wywiad naukowo-techniczny i szyfry) francuskiego wywiadu kpt. Gustave Bertrand w grudniu 1932 r. przekazał polskiej stronie dokumenty pochodzące od agenta Hansa Thilo-Shmittda, pseud. Asche. Materiały zawierały m.in. tabele miesięczne kluczy z dwóch miesięcy oraz instrukcję obsługi Enigmy. Nawiązano wtedy stałą współpracę w dziedzinie radiowywiadu między polskimi a francuskimi służbami. Opierając się na udostępnionych mu materiałach, Rejewski dokonał rzeczy niezwykłej – stworzył matematyczny model Enigmy. Domyślił się, że pierwsze sześć liter szyfrogramu stanowiło zaszyfrowany trzyliterowy klucz indywidualny (powtórzony dwukrotnie), odkrył zależności i cykliczną naturę tego szyfru. Opracował równania matematyczne, które pozwoliły odtworzyć wewnętrzne okablowanie Enigmy. Dokonał tego pod koniec grudnia 1932 r. i wówczas stało się możliwe odczytywanie zaszyfrowanych Enigmą wiadomości. Na początku następnego roku do prac nad złamaniem szyfru Enigmy dołączyli Henryk Zygałski i Jerzy Różycki, którzy wspólnie pracowali nad odtwarzaniem kluczy i tworzeniem nowych metod dekryptażu.

METODA ZEGARA, PŁACHTY ZYGALSKIEGO

Jerzy Różycki, urodzony w Olszanie, położonej ok. 200 km od Kijowa, podczas zmagania z szyfrem maszynowym Enigmy był twórcą oryginalnej tzw. metody zegara, bazującej na bardziej tradycyjnych technikach analizy językowej. W styczniu 1942 r., podczas służby w polsko-francuskim ośrodku kryptologicznym „Cadix”, przedwcześnie zakończył żywot, ginąc w katastrofie morskiej. Pozostawił żonę z synem, Januszem. Dzięki uprzejmości Macieja Grodeckiego, na potrzeby Centrum Szyfrów Enigma udało się pozyskać zdjęcia Jerzego Różyckiego i jego rodziny. Henryk Zygałski natomiast, poznańsk, który wychował się w kamienicy położonej niedaleko siedziby Centrum (przy obecnej ul. Mielżyńskiego), przeszedł do historii jako twórca płacht Zygałskiego. Było to narzędzie wspomagające dekryptaż Enigmy, pozwalające ustalić ustawienie wirników na podstawie nakładanych na siebie arkuszy perforowanych. Było ono o tyle istotne, że w początkowym okresie II wojny światowej, po zmianach w metodach szyfrowania przez Niemców, okazało się jedyną skuteczną metodą ataku na ten szyfr. Co ciekawe, Brytyjczycy, dysponując kompletem płacht, nie potrafili się jednak nimi początkowo posługiwać i dlatego w styczniu 1940 r. wysłali Alana Turinga, genialnego matematyka i jednego z prekursorów współczesnej informatyki, do podparyskiego polsko-francuskiego ośrodka kryptologicznego (kryptonim PC Bruno). Tam wyjaśniono Turingowi, jak prawidłowo używać tego narzędzia, co zaowocowało pierwszym po wybuchu wojny złamaniem szyfru Enigmy. Fakt ten miał decydujące znaczenie dla działań aliantów podczas kampanii norweskiej i francuskiej w 1940 r. i wpłynął na dalsze sukcesy Brytyjczyków w dziedzinie kryptologii. W zasobach Centrum Szyfrów Enigma, dzięki Marii i Gerardowi Bryschakom, posiadamy oryginalne zdjęcia Henryka Zygałskiego i listy pisane do rodziny oraz bogaty zbiór zeskanowanych i udostępnionych w Mediatece fotografii z jego albumu rodzinnego.

LUDZIE WYTWÓRNI RADIOTECHNICZNEJ „AVA”

Prace nad dekryptażem Enigmy z powodzeniem trwały niemal do końca lat 30. XX wieku. Mimo zmienianych przez

Niemców procedur szyfrowania, polska ekipa była w stanie tworzyć nowe metody i narzędzia wspomagające dekryptaż, m.in. cyklometr, płachty Zygałskiego, bombę Rejewskiego czy polskie repliki Enigmy. Trzeba podkreślić, że innowacyjnym podejściem Polaków było użycie przez nich po raz pierwszy maszyn wspomagających atak na szyfr innej maszyny. O ile Rejewski odtworzył przebieg wewnętrznych połączeń wirników Enigmy, o tyle za skonstruowanie repliki odpowiadała warszawska firma AVA, której dyrektorem był inż. Antoni Palluth. Urodzony w podpoznańskich Pobiedziskach i wychowany w Poznaniu, absolwent Gimnazjum Marii Magdaleny, służył w 1919 r. w wojskach łączności w poznańskiej Cytadeli. Krótko po tym trafił na front powstańczy, walczył także w wojnie polsko-bolszewickiej w oddziałach radiotelegraficznych. W połowie lat 20. XX w. rozpoczął współpracę z radiowywiadem oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Firma AVA, specjalizująca się w sprzęcie radiotelegraficznym, której założycielami byli Leonard Danilewicz, Ludomir Danilewicz oraz Edward Fokczyński, powstała w 1928 roku. Po skutecznym ataku na szyfr Enigmy wyszło od Biura Szyfrów zlecenie na wykonanie polskiej repliki Enigmy, a później także cyklometru i bomby Rejewskiego.

Swoją służbę Palluth przyplacił życiem, ginąc w 1944 r. w wyniku alianckiego nalotu w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. Dzięki wnukowi Antoniego, Piotrowi Palluthowi, Centrum Szyfrów Enigma wzbogaciło się o wyjątkowe depozyty w postaci czterech listów Antoniego Pallutha pisanych z obozu. Warto zwrócić uwagę, że listy te ze względu na obustronność, zostały napisane w języku niemieckim. Co ciekawe, nie były one adresowane do żony ani innych członków najbliższej rodziny, a tylko do dalszych krewnych i znajomych, ze względu na obawę o ich bezpieczeństwo.

WIEDZA NA WAGĘ ZWYCIĘSTWA

Polskie Biuro Szyfrów, łamiąc skutecznie szyfr Enigmy przez sześć lat, osiągnęło pod koniec 1938 r. maksimum swoich możliwości. Kolejna wprowadzona przez Niemców zmiana w metodach szyfrowania utrudniła odczytywanie większości depech. By kontynuować dekryptaż, trzeba było ponieść znaczne koszty budowy kolejnych egzemplarzy urządzeń i narzędzi wynalezionych przez Polaków, na co nie było stać polskiego wywiadu. Chcąc uniknąć zaprzepaszczenia tego dorobku, Polacy postanowili podzielić się swą wiedzą z państwami sojuszniczymi. W lipcu 1939 r. zaproszono przedstawicieli francuskiego i brytyjskiego wywiadu do ośrodka w Pyrach pod Warszawą, gdzie przekazano im całą wiedzę i stworzone dotychczas metody łamania szyfru Enigmy. Dorobek Polaków nie tylko umożliwił skuteczne ataki na szyfr Enigmy w pierwszej fazie wojny, ale stał się także inspiracją dla dalszego rozwoju technik dekryptażu Enigmy. Warto podkreślić, że Alan Turing maszynę własnej konstrukcji również nazwał bombą, inspirując się wcześniejszym urządzeniem autorstwa Mariana Rejewskiego. Od tego momentu do Brytyjczyków przeszła pałeczka w dziedzinie dekryptażu Enigmy i rozwijali własne metody ataku na szyfr w ośrodku w Bletchley Park. Trzeba stwierdzić jednak, że bez determinacji Ciężkiego, zmysłu inżynierskiego Pallutha i przede wszystkim geniuszu Rejewskiego, Zygałskiego i Różyckiego tego sukcesu z pewnością by nie było.

Na fotografii: Henryk Zygałski z siostrą Moniką, matką Stanisławą i ojcem Michałem spacerują ulicą Św. Marcin. W tle widać budynek Intendencji Wojskowej, w którym ówczesnie pracował jako kryptolog, 1930 r., ze zbiorów Marii i Gerarda Bryschaków/Centrum Szyfrów Enigma.



Eugenia R. Dabertowa. Wspomnienie

Anna Banaszak

5 grudnia ubiegłego roku na Cmentarzu Miłostowo w Poznaniu pożegnaliśmy Eugenię R. Dabertową. Pochód żałobników poprzedzał poczet sztandarowy Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”, a w drodze na miejsce ostatecznego spoczynku poza najbliższą Rodziną towarzyszyły Zmarłej osoby związane, m.in. z wielkopolską „Solidarnością”.

*

43 lata wcześniej, w dniach 7–9 grudnia 1981 r., uczestniczyliśmy z Renią jako przedstawicielki środowisk pracowniczych bibliotek zrzeszonych w NSZZ „Solidarność” w naradach i pracach oraz spotkaniach Ogólnopolskiej Międzybibliotecznej Komisji Porozumiewawczej (OMKP) NSZZ „Solidarność” w Warszawie i Lublinie. Tematem obrad, poza sytuacją bieżącą w kraju i ówczesnym stanem bibliotek i problemami ich pracowników, były zagadnienia związane z żywo rozwijającym się wówczas ruchem samorządów pracowniczych, mającym na celu poprawę jakości zarządzania i administrowania w zakładach pracy i instytucjach. Nawiasem mówiąc, gdyby możliwy okazał się wówczas rozwój tej formy aktywności społecznej i obywatelskiej, nie byłoby tak łatwo później, gdy Polska odzyskała swą podmiotowość i poddawała się rygorom rynkowym, sprywatyzować za bezcen wielu zakładów, a rzeszy pracowników pozostawić bez pracy. Obradowaliśmy najpierw w Warszawie w wąskim gronie. Pamiętam dr. Jerzego Maja z Biblioteki Narodowej, znanego szerzej w środowisku branżowym z błyskotliwych felietonów publi-

kowanych w późniejszym czasie w „Bibliotekarzu”, i jego słowa wypowiedziane pół żartem, pół serio na marginesie oficjalnych obrad, o krążących tu i ówdzie groźbach wywózek „na białe niedźwiedzie”. Atmosfera w mroźnej, zimowej Warszawie stawała się ponura i śmieszna jednocześnie. Stolica zdawała się wyczuwać nadchodzący czas. Nazajutrz, 8 grudnia, udaliśmy się do Lublina, gdzie miała obradować OMKP w pełnym 27-osobowym składzie. Miasto spowiła cienka warstwa prószonego śniegu, nadając szarym, zabiedzonym budynkom nierzeczywistego charakteru, a także wydobywając z mijanych gmachów resztki ich dawnego kresowego uroku. W drodze z dworca zaszliśmy do przydrożnego kościoła, który okazał się cały wypełniony wiernymi oczekującymi na Mszę świętą. Pochyliłyśmy głowy przed Panem i ruszyliśmy dalej w drogę, w stronę Biblioteki Głównej UMCS, na obrady. Następnego dnia wróciliśmy do Warszawy na umówione wcześniej spotkanie w Ministerstwie Kultury i Sztuki, gdzie negocjowaliśmy z upoważnienia OMKP projekt ustawy o szkodliwych i uciążliwych warunkach pracy w bibliotekach. Wszystkie nasze uwagi i postulaty strona ministerialna przyjmowała w całości i bez sprzeciwu. Negocjacje poszły gładko i sprawnie. Czy obowiązywało już wtedy zalecenie, by nie wchodzić w spory na poziomie branżowym? Wszak przygotowane było rozwiązanie całościowe! Ta refleksja przyszła dużo później.

*

Tak oto dobiegały końca ostatnie dni karnawału „Solidarności” i naszego w nim udziału. Eugenia R. Dabertowa była wybitną działaczką poznańskiego ruchu solidarnościowego. Znalazła się wśród członków założycieli NSZZ „Solidarność” w UAM. Zakładała też organizację związkową w Bibliotece Uniwersyteckiej w Poznaniu i jej przewodniczyła. To wtedy wystąpiono z inicjatywą zlikwidowania działu prohibitów (zbioru książek i dokumentów zakazanych w PRL i nieewidencjonowanych w katalogach biblioteki), włączając opisy bibliograficzne tych dzieł do powszechnego rejestru katalogowego. Niniejsze wspomnienie nie ma na celu opisu całokształtu jej działalności, tak przecież różnorodnej (w tym wcale okazałej pracy piśmienniczej i wydawniczej) i w związku z tym przekraczającej możliwości tego skromnego artykułu. Z konieczności więc skupię się na mojej osobistej, pracownika Biblioteki Raczyńskich i działacza „Solidarności” teźże księżniczki, relacji z Renią. Eugenia R. Dabertowa patronowała powstaniu „Solidarności” w Bibliotece Raczyńskich, wtedy – Miejskiej Bibliotece Publicznej im. E. Raczyńskiego. Była obecna na zebraniu założycielskim NSZZ „Solidarność” w tej instytucji, zaproszona przez inicjatora powstania Związku – Jurka Kandziórę. Spotkanie odbywało się pod koniec lata pamiętnego roku 1980 w ODK „Pod Lipami”. Renia, wyposażona oficjalnie w rękojmię delegata „Solidarności” uniwersyteckiej, przybyła i podzieliła się z nami posiadaną już wiedzą ekspercką i techniczną, niezbędną do organizowania niezależnego i samorządowego związku. To wtedy wyłoniono spośród pracowników Komisję Tymczasową oraz zebrano postulaty, które formułowały nasz program. Spośród wielu zgłoszonych wówczas postulatów pamiętam szczególnie ten, należący do młodego, z niewielkim stażem pracowniczym i z hippisowska noszącego się mężczyzny, zdaje się najbardziej doniosły wtedy postulat, aby przywrócić Bibliotece jej

historyczną nazwę (nastąpiło to po 10 latach). Ale osobistą znajomość zawarłam z Renią kilka miesięcy później, w końcu stycznia 1981 roku. Powstawały wtedy struktury branżowe. Pracownicy bibliotek publicznych i uczelnianych zrzeszeni w NSZZ „Solidarność” utworzyli wówczas Ogólnopolską Międzybiblioteczna Komisję Porozumiewawczą (OMKP), która miała ich reprezentować w kontaktach z władzami na szczeblu ministerialnym, konsultować projekty ustaw oraz przedstawiać stanowiska wspólne dla tego środowiska. Reprezentowałyśmy w tej 27-osobowej grupie OMKP środowisko pracowników bibliotek poznańskich. Razem z Renią regularnie spotykałyśmy się w naszym poznańskim gronie, korzystając z gościny Muzeum Sienkiewicza, wypracowując opinie, konsultując się, definiując problemy, przekazując informacje na forum krajowe, jakim była OMKP, i w kierunku zwrótnym na poziom regionalny. Szczególnie aktywne w powołaniu OMKP było środowisko bibliotekarzy szczecińskich. Renia okazała się jedną z najbardziej aktywnych postaci w Międzybibliotecznej Komisji, nadających jej ton i dynamikę. Później, w stanie wojennym, na bazie tej grupy i nawiązanych kontaktów redagowała i kolportowała periodyk OKNO.

*

W stanie wojennym i później w latach 80. utrzymywałyśmy kontakty stosownie do potrzeb i okoliczności. Pewnego majowego dnia 1988 r. wzięłam urlop i ruszyłam, na prośbę Reni, z pocztą kurierską. W umówionym miejscu nie odnalazłam kontaktu, zaryzykowałam telefon i udałam się pod wskazany adres. Po dłuższym oczekiwaniu, nie doczekawszy się kontaktu, naruszając nieco zasady konspiracji, zostawiłam, co miałam do przekazania i wróciłam do Poznania. Jeszcze tego dnia wieczorem zdążyłam obejrzeć dziennik telewizyjny – „reżimowi” pokazywali Tadeusza Mazowieckiego z garstką strajkujących, niosących krzyż i opuszczających Stocznię Gdańską. Kolejny strajk się załamywał. Moja połowicznie wypełniona misja do Szczecina, a teraz to. Sytuacja wydawała się beznadziejna. A jednak, Renia w tych trudnych okolicznościach lat 80., dostrzegając powagę sytuacji, przez cały czas widziała sens i potrzebę dalszej aktywności i oporu wyrażającego się w pracy na rzecz wolnego słowa. Chociaż wtedy trudno nawet było przypuszczać, że oto powoli domyka się czas PRL-u, a zaczyna nowe.

Po 1989 r. nasze kontakty właściwie ustały. Do momentu, gdy Bibliotekę obiegła wiadomość o przekazaniu należących do niej fundacyjnych gruntów na tyłach gmachu przy placu Wolności – Telekomunikacji Polskiej. Był to grudzień 1998 roku. Podjęta wówczas administracyjna decyzja, blokując planowaną przyszłą rozbudowę, pozbawiała najstarszą bibliotekę publiczną w Polsce możliwości dalszego rozwoju w miejscu wskazanym prawie 170 lat wcześniej przez jej Fundatora. Sprawa była przesądzona, ale tym razem decyzjami urzędników wolnej Polski. I stawiała pod dużym znakiem zapytania sens wieloletnich zmagania „Solidarności” o wolną, a więc lepszą, Polskę. Z niezgody i głębokiego sprzeciwu wobec tych krzywdzących planów powstało Towarzystwo Przyjaciół Biblioteki Raczyńskich. I tutaj, po raz kolejny, Renia dołączyła do nas i stała się aktywnym rzecznikiem naszej sprawy. Wspierała radą i doświadczeniem. Opublikowała na łamach „So-

lidarności Poznań” (wkładka do „Głosu Wielkopolskiego”), kontynuacji pisma współredagowanego przez Renię jeszcze w podziemiu, obszerny artykuł o Edwardzie Raczyńskim i jego fundacji, pisała o roli, jaką ta księżniczka odegrała w utrzymaniu polskości w przeszłości, co z kolei wyznaczało rangę i kierunek zadań, jakie winna ona wypełniać obecnie i w przyszłości. Korzystając ze swoich kontaktów, pośredniczyła w spotkaniach z politykami solidarnościowej formacji, orędując na rzecz odzyskania gruntów i rozbudowy Biblioteki. Spór na pewnym etapie przerodził się w dyskusję o kierunku, w którym powinno zmierzać reformowanie kraju, ona sama zaś odwoływała się do konieczności równomiernego rozwoju. Była słuchana z uwagą i respektem. Po kilkuletniej batalii o Bibliotekę udało się cofnąć błędne decyzje i przywrócić zabrane jej przez Telekomunikację Polską grunty. Przystąpiono do rozbudowy, wskutek czego doszło do scalenia księgozbioru rozproszonego w kilku magazynach w mieście, dając tym samym tej instytucji impuls do dalszego rozwoju i należytej ochrony dziedzictwa Edwarda Raczyńskiego. Zastanawiam się dzisiaj, czy takie działanie, które zjednoczyło mieszkańców Poznania we wspólnej sprawie ratowania Biblioteki Raczyńskich, byłoby możliwe, gdyby nie sierpień 1980 roku i doświadczenie Solidarności, także to w cieniu stanu wojennego i wojny polsko-jaruzelskiej. Chyba nie. Czas „Solidarności” to był jej, Reni, czas, czuła się wyśmienicie w tym żywiole wolności, ale również w stanie wojennym i potem nie wytracała impetu.

*

W wolnej Polsce sporo publikowała i wydawała. I dopiero dokładniejsze przyjrzenie się tej stronie jej działalności zdaje się odsłaniać źródło siły i niewyczerpanej energii, którymi emanowała. Była osobą głęboko osadzoną w kulturze polskiej i wielkopolskiej tradycji. Identyfikowała się z wartościami i postaciami, o których pisała, uznając, że tylko takie są warte udokumentowania, a więc i ocalenia. Jej twórczość wywodziła się z szacunku do trudu i wysiłku poprzednich pokoleń oraz potrzeby udokumentowania ogromu pracy, jaką ci, którzy nas poprzedzali, wykonali na rzecz Niepodległej. Solidarność postulowana w nazwie związku zawodowego była również solidarnością z pracą tamtych pokoleń i ich mozolnym wysiłkiem. Była przecież nie tylko ruchem społecznym, ale również cnotą moralną i obywatelską, zobowiązaniem, któremu należy być wiernym. W ten sposób Renia uosabiała najlepsze cechy polskiej inteligencji. O pokolenie od nas starsza, była w tej naszej, wspólnej przygodzie z „Solidarnością” przewodnikiem, taką „Panią Matką”, za którą podążaliśmy, zawsze o krok z tyłu. Nie będąc nigdy pracownikiem Biblioteki Raczyńskich, zrobiła dla tej instytucji wiele, aktywnie uczestnicząc w kilku doniosłych i rozstrzygających o przyszłości momentach jej dziejów na przestrzeni ostatnich czterech dekad lat. Była na tyle znaczącą postacią, że już sama jej obecność mobilizowała, dawała wsparcie i zachętę do pracy i wysiłku na rzecz dobra publicznego, jaką była „S” i ochrona dziedzictwa kulturowego. Pozostając Twoimi dłużnikami, zachowamy Cię, Reniu, we wdzięcznej pamięci.

Na fotografii: Eugenia R. Dabertowa w 2007 r. podczas gali Nagrody im. Józefa Łukaszczyka w Bibliotece Raczyńskich (uhonorowana wówczas za książkę *Poznański Czerwiec 1956: relacje uczestników*). Fot. Tomasz Proć.



Jak (nie) zostałam muzealnym eksponatem.

Pamięci Mariana Walczaka

Agnieszka Kraszewska

Była połowa lat 80. ubiegłego wieku. Mój mąż, Piotr Kraszewski, szedł właśnie ze swoim przyjacielem Wojtkiem Chojnackim w kierunku Starego Rynku w Poznaniu, gdzie w kamieniczce sąsiadującej z Pałacem Działyńskich mieścił się Zakład Badań nad Polonią Zagraniczną Polskiej Akademii Nauk, w którym obaj pracowali. Dochodząc do ulicy Wrocławskiej, Wojtek zakomunikował, że tu – nad sklepem ze sztucznymi kwiatami – mieszka Marian Walczak, dla którego ma przesyłkę od swego ojca, prof. Władysława Chojnackiego z Warszawy. I zaproponował, by razem tam weszli na chwilę, dla przekazania koperty z bibliofilskimi drukami, no i pozdrowień od ojca.

ZBIORY PRZEKAZAŁEM MIASTU MEMU...

Kilka minut później mąż mój został przedstawiony M. Walczakowi, który – nie dowierzając, czy dobrze usłyszał nazwisko gościa – poprosił o jego powtórzenie. Wizyta trochę się jednak przedłużyła, bo gospodarz, po chwilowym zaskoczeniu, z ochotą zaczął opowiadać o tym, co tak bardzo go interesowało, a o swoich zbiorach *kraszewscianów* mógł mówić bez końca. Nie obeszło się naturalnie bez pokazania gościom kilku ciekawych „zdobyczy” z unikatowej kolekcji. Na moim mężu wizyta w mieszkaniu bibliofila, którego od lat 50. tak niezwykle zajmowała postać, życie i twórczość Józefa Ignacego Kraszewskiego, również zrobiła spore wrażenie. Pokój, do którego panowie zostali zaproszeni, wypełniały książki. Ale nie tak zwyczajnie, na otwartych regałach i na półkach. Książki były z pietyzmem ustawione w specjalnych szafach (wyprodukowanych w przedwojennej firmie „Skóra i S-ka” z Poznania) z zasuwanymi, przeszklonymi frontami przy każdej półce. Na ścianach – nie tylko zresztą w tym pokoju, ale i w korytarzu – każdą wolną przestrzeń zajmowały obrazy, grafiki i ilustracje związane z osobą pisarza. W pewnym momencie rozmowy M. Walczak zwrócił się do mego męża:

– *Zbiory te przekazałem notarialnie już w 1979 r. memu miastu na ręce prezydenta Andrzeja Wituskiego. Będą stanowiły niepodzielną i wyodrębnioną całość w zbiorach Biblioteki Raczyńskich. Teraz czekam na dokończenie remontu i wyposażenia staromiejskiej kamieniczki przy ulicy Wronieckiej i na spełnienie się mego marzenia: otwarcia Pracowni-Muzeum Józefa I. Kraszewskiego. Ale – spotkawszy dzisiaj Pana – pomyślałem sobie: może zechciałby Pan przyjąć propozycję i zostać kustoszem w nowo powstającym muzeum. Z takim nazwiskiem! Co by to było za zrządzenie losu! A dla mnie radość nieopisana! Teraz to mój mąż został zaskoczony... Po-dziękowawszy za propozycję i miłe słowa, zauważył jednak, że swojej działalności naukowej i drogi zawodowej, którą wybrał, nie byłby w stanie pogodzić z pracą w muzeum – dlatego zmiana zatrudnienia w jego przypadku nie wchodziła w grę. Pan Marian ze swego pomysłu nie miał chyba ochoty rezygnować, bo żegnając się z gośćmi, powrócił jeszcze do tematu: – *Gdyby Pan się jednak zdecydował – będę czekał cierpliwie, a rozmowę z dyrektorem Biblioteki biorę na siebie.**

W KOŃCU NAZWISKO TO SAMO!

Minęło trochę czasu. Mąż nadal pracował w Zakładzie Badań nad Polonią Zagraniczną PAN, a ja – po kilkunastu latach zatrudnienia w Narodowym Banku Polskim w charakterze projektantki i programistki systemów epd (czyli elektronicznego przetwarzania danych – tak to się wtedy nazywało) – postanowiłam zmienić pracę i razem z przyjaciółmi założyliśmy Spółdzielnię Pracy Informatyki „Polcomp”. Jednak nie odnalazłam się w tym nowym miejscu. Zastanawiałam się więc, co robić dalej. Wówczas mój mąż – przypomniałszy sobie rozmowę w mieszkaniu M. Walczaka – wpadł na zwariowany (jak się wydawało) pomysł, abym to ja odpowiedziała na sugestię bibliofila, jeśli oczywiście sprawa okaże się aktualna. – *W końcu nazwisko to samo!* – dodał jeszcze.

Odwiedził więc ponownie M. Walczaka, który ucieszył się wielce i zupełnie nie zrobiło na nim wrażenia to, że jestem z wykształcenia informatyką – a więc po studiach matematycznych, a nie humanistycznych. Chcąc mnie poznać, zaprosił niebawem do siebie nas oboje. Mieszkanie pp. Walczaków i na mnie zrobiło niemałe wrażenie, podobnie jak rozmowa, a właściwie barwna opowieść kolekcjonera o perypetiach związanych z pozyskiwaniem niektórych „okazów”. Szczególnie utkwiła mi w pamięci historia pewnej rzeźby. M. Walczak – z racji swoich zainteresowań – utrzymywał rozliczne kontakty z wieloma antykwariuszami, bibliofilami, zbieraczami. O jego żyłce kolekcjonerskiej wiedział również miejscowy proboszcz. Pewnego razu dał on znać Panu Marianowi, że w jednym z odwiedzanych „po kołędzie” mieszkań zauważył około metrowej wysokości posąg, przedstawiający – jak utrzymywali gospodarze – pewnego świętego. Proboszcz głośno nie skomentował, ale po cichu był niemal pewien, że to nie jest postać żadnego świętego. Gdy M. Walczak złożył wizytę właścicielom owej rzeźby, od samego progu nie miał wątpliwości, że trafił na przedstawienie postaci J.I. Kraszewskiego. Ucieszył się bardzo, ale rozmowa z gospodarzami i próba namówienia do jej odstąpienia nie była łatwa. Wiadomość, że przez lata czcili nie świętego, lecz pisarza, przyjęli z mieszanymi uczuciami. Ale ostatecznie doszło do transakcji, no bo... skoro to nie był święty, to po co dalej trzymać figurę w domu?

Nasza wizyta u M. Walczaka dobiegła końca i widocznie mnie zaakceptował, bo przekazał, że jest już po rozmowie – jak wcześniej zadeklarował – z Januszem Dembskim, ówczesnie kierującym Biblioteką. Dalej sprawy potoczyły się już szybko. Wizyta u dyrektora, skierowanie na odbycie bibliotecznego stażu we wszystkich działach – najdłużej przy opracowywaniu druków zwartych i rękopisów. W 1986 r. rozpocząłam pracę w Pracowni-Muzeum Józefa Ignacego Kraszewskiego. Gdy po raz pierwszy weszłam do kamieniczki przy ulicy Wronieckiej 14, z zachwytem oglądałam wystrój wnętrza: już klatka schodowa, prowadząca mnie na drugie piętro, sygnalizowała, że tu wszystko zostało zaprojektowane do szczegółu. W czytelnicy na honorowym miejscu, na postumencie, znajdowało się popiersie pisarza wykonane z marmuru karraryjskiego. Na górnych półkach specjalnie zaprojektowanych mebli umieszczono książki – opracowania dotyczące życia i twórczości autora *Starej baśni*. Natomiast poniżej, w gablotach, wystawione były pierwsze wydania utworów J.I. Kraszewskiego, ale tylko ich część – wszystkie zgromadzone przez M. Walczaka nie pomieściłyby się tutaj, gdyż w jego zbiorze *kraszewscianów* pierwszych wydań było ponad dwieście! Po przeciwnej stronie klatki schodowej mieściła się sala ekspozycyjna. Tu – po wielu latach bląkania się po różnych muzealnych magazynach – znalazły dla siebie miejsce pamiątki i dary, jakie Kraszewski otrzymał podczas jubileuszu 50-lecia swojej pracy literackiej obchodzonego w 1879 roku. Zachowały się one do naszych czasów z nieznacznymi stratami i z wielką mocą pokazują nam, jakim szacunkiem, sławą i uznaniem cieszył się pisarz u rodaków spod wszystkich zaborów. Są tu albumy pięknie oprawne z adresami gratulacyjnymi, misternie rzeźbione puchary, srebrne i pozłacane wieńce z liści lauru i dębu, ozdobne kałamarze, medaliony, szafka na numizmaty, a także rzeźbiony fotel z drewna orzechowego, na którego obiciach – na siedzeniu i oparciu – wyhaftowano dwanaście herbów województw historycznej Wielkopolski. Długo można byłoby opisywać i wymieniać te skarby, ale najlepiej odwiedzić muzeum i to wszystko zobaczyć.

MUZEUM, JUBILEUSZ, FILMY

Dobrze się stało, że Pracownię-Muzeum J.I. Kraszewskiego udało się otworzyć w 1986 roku. Co najmniej z dwóch przyczyn. Po pierwsze – Marian Walczak zdążył zobaczyć, jak działa placówka, która powstała w wyniku jego starań, by zbierane przez dziesiątki lat zbiory *kraszewscianów* służyły również innym miłośnikom pisarza, badaczom, czytelnikom i wszystkim odwiedzającym to miejsce. Jego marzenie się spełniło. Po drugie – zbliżał się rok 1987, czyli setna rocznica śmierci Kraszewskiego. Okazja ta wzmogła zainteresowanie osobą i twórczością autora *Ułany*, tak niegdyś popularnego, powszechnie czytanego, który przez współczesnych sobie traktowany był niczym duchowy przywódca narodu. Już u progu tego jubileuszowego roku pojawiła się w Pracowni-Muzeum telewizyjna ekipa filmowa z Warszawy, mająca w planie przygotować dokumentalny film o Kraszewskim. Przyjechali reżyserzy: Lucyna Smolińska i Mieczysław Sroka. Byli oni również autorami scenariusza. Zaprosili do współpracy i konsultacji reżyserskiej – nie mogło być przecież inaczej – niewyczerpane źródło wiedzy o pisarzu, M. Walczaka. Mnie

natomiast poproszono o recenzję scenariusza i współpracę dokumentacyjną. Prace trwały kilka tygodni. Z Poznania ekipa pojechała na dalsze zdjęcia do Krakowa. W sekwencjach filmu pojawiał się pisarz, w którego postać wcielił się Henryk Machalica, a lektorami obrazu byli Czesław Seniuch i Janusz Zakrzeński. Tak powstał film *Olbrzym*.

W 1987 r. podjęto prace także przy drugim filmie o pisarzu – tym razem w Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi – *Kraszewski jakiego nie znamy*. I w tym wypadku zwrócono się do naszej Pracowni-Muzeum o przygotowanie dokumentacji naukowej do scenariusza tego filmu.

Dziennikarze, nie tylko zresztą z Poznania, też częściej niż w innych okresach odwiedzali wówczas muzeum przy Wronieckiej. Po zadawaniu pytań dotyczących Kraszewskiego i naszej placówki, zwykle też próbowali się dopytać o moje koneksje rodzinne z pisarzem. Starałam się wytłumaczyć historię zbieżności nazwisk, ale i tak trochę czułam się jak „eksponat”. Nie wszystkim dziennikarzom moje wyjaśnienia przypadły do gustu – woleli jednak w swoich artykułach napisać, że w muzeum Kraszewskiego w Poznaniu prowadzi zwiedzających... wnuczka sławnego pisarza (nawiasem mówiąc, gdyby wówczas żyła jeszcze jakaś jego wnuczka, to trzeba by pewnie dodać ze trzy razy „pra”). Przypomniało mi to historię, jaka niegdyś przytrafiła się ojcu mego męża, pisarzowi i dziennikarzowi Tadeuszowi Kraszewskiemu. W opublikowanym wywiadzie w 1960 r. pojawiła się informacja nadgorliwego żurnalisty, że osoba, z którą właśnie rozmawia, jest potomkiem samego Józefa Ignacego. Zdarzyło się, że gazetę tę miała też w swoich rękach Bolesława Ligowska, prawdziwa prawnuczka pisarza. Czula na punkcie rodzinnych koligacji, zadała sobie trud, znalazła adres mego teścia i zażądała do niego – w dość jednoznacznie brzmiących słowach – by się wytłumaczył, jakim to niby jest on krewnym Józefa Ignacego. Tadeusz Kraszewski odpisał, wyjaśnił, że informacja w gazecie pojawiła się bez jego wiedzy, i że nigdy nie przyszedłoby mu nawet do głowy sugerować komukolwiek takich koligacji. Ostatecznie przeprosiny i wyjaśnienia udo-bruchały panią Ligowską.

ILEŻ TO GODZIN SZCZĘŚLIWYCH...

Jubileuszowy rok stulecia śmierci patrona Pracowni-Muzeum powoli dobiegał końca. Niestety dobiegało też końca życie naszego darczyńcy. Marian Walczak zmarł 29 grudnia 1987 r. w wieku 61 lat. Niemał całe swoje życie poświęcił wielkiej pasji: tropieniu śladów działalności pisarza i pozyskiwaniu – nie tylko wydań utworów, niemal wszystkich, autorstwa J.I. Kraszewskiego, czy setek opracowań na temat jego biografii i twórczości – ale również pamiątek po nim, choćby najdrobniejszych. Każda kolejna „zdobycz” w kolekcji sprawiała bibliofilowi wiele radości. Chętnie o tym opowiadał, z nieustającym zdumieniem, na ilu polach pisarstwa, dziennikarstwa, sztuki oraz spraw społecznych działań jego ulubiony pisarz. Swoją pasję kolekcjonerską podsumowywał czasem, przytaczając słowa Józefa Ignacego: *Ileż to godzin szczęśliwych zawdzięczałem temu zatrudnieniu*.

Na fotografii: Marian Walczak podczas otwarcia wystawy jego zbiorów bibliofilskich w Bibliotece Raczyńskich, 14 XII 1980. Fot. J. Misiorny.

Z pamiętnika młodej... bibliotekarki

Małgorzata Szuman
Dział Informacji
i Udostępniania Zbiorów
Biblioteki Raczyńskich



Z pracą w bibliotece związanych jest wiele stereotypów, które tu i ówdzie podchwyciła literatura: że to nudna praca, którą może wykonywać każdy, a o bibliotekarkach krążą legendy. Zgorzkniałe, stare panny, w niemodnych ubraniach, grubych okularach – żyjące życiem bohaterów romansów i marzące o nich w realu. Cóż, może gdzieś, kiedyś, ktoś, coś... ale to mit. Zwykła bzdura, krzywdząca i stygmatyzująca środowisko, sprawiająca, że czytelnicy bywają niemili z tego właśnie powodu.

Prawda jest taka, że w bibliotece nudy nie ma! Wieczną przygodą jest kontakt z literaturą, o czym wie każdy. Jest wymuszony regulaminem spokój, a i tak wielu bibliotekarzy powie, że pod tą pozornie gładką powierzchnią buzują emocje. Gejzery wybuchają częściej, niż się wydaje.

Czy się to komuś podoba czy nie bibliotekarz to współczesny człowiek renesansu!

Jak w każdej pracy zdarzają się zabawne sytuacje, które odbierają mowę. O paru opowiem, parafrazując cykl skeczy Ewy Szumańskiej (*Z pamiętnika młodej lekarki; 60 minut na godzinę; ZSYP*).

Będąc młodą bibliotekarką, pracowałam na jednej z filii (już nieistniejącej), kiedy do biblioteki wbiegł mężczyzna w średnim wieku, krzycząc: *Gdzie jest karzelek? Gdzie mój karzelek?* Moje zdumienie potęgowało w nim agresję. Z pomocą przyszła koleżanka, przynosząc mały, dziecienny taborecik. Mężczyzna wyrwał go i skrył się między regałami.

Innym razem typowe czynności bibliotekarskie zakłócił młody człowiek, który głosem donośnym i jednostajnym zaczął odczytywać kolejno artykuły z gazety. *Hardcorowa* prasówka powtarzała się każdego dnia, nic nie pomagało. Wpadłam wtedy na pomysł, by miłośnika głośnego czytania zagłuszyć – i udało się! Mój głos był silniejszy! Swoje hobby realizował nadal – wśród książek, skutecznie tłumiących jego donośny głos.

Obsługa czytelników bywa monotonna, to fakt, lecz nie nudna. Zamyślona, z powagą spytałam czytelnika zwyczajowo o godność, na co usłyszałam: *dlaczego jest pani taka zła?* Oniemiałam. Zmieniłam więc taktykę i każdego czytelnika witałam z uśmiechem. Niestety, zarzucono mi, że się *naśmiewam*. Łatwo nie było!

Pewnego dnia dyżur przebiegał spokojnie: żadnych dziwnych pytań, zero agresji. Weszła elegancko ubrana kobieta w wieku balzakowskim, prosząc o romans historyczny. Zaproponowałam *Czarny Tulipan* A. Dumas. – *Nie! Z ogrodnictwa dziękuję!* Jeszcze nie doszłam do siebie, kiedy do wypożyczalni przyszedł zatroskany ojciec po lekturę dla syna. Nie był pewny tytułu – wybrał *Chłopów* Reymonta. Po dwóch godzinach przyszła żona, by oddać *Chłopów* i wypożyczyć *Dziady*

A. Mickiewicza – tłumacząc, że *mężowi określenie wydało się brzydkie, a „Chłopi” brzmiało lepiej*. Cóż, owa argumentacja nie jest pozbawiona sensu.

Pewnej zimy, gdy za oknem panował mrok, a w szatni dyżurował przemily pan Olek, do biblioteki wszedł młody mężczyzna w długim, eleganckim płaszczu. Nie zostawił go w szatni, co mnie lekko zaniepokoiło, a byłam wówczas sama w bibliotece. Nagle zaczął biegać od okna do okna, wzdychając i machając rękoma. Nie reagowałam! W pewnym momencie zatrzymał się przede mną, mówiąc: – *Czy może mi pani powiedzieć, o czym jest „Makbet”?* A najlepiej *opowiedzieć!* Próbowałam, a w akcie desperacji sugerowałam obejrzenie *Tronu we krwi* A. Kurosawy. Niestety czytelnik wyszedł niepokieszony, na czytanie – jak stwierdził – nie ma czasu.

Innym razem młody człowiek po przejrzaniu katalogu wzdychał raz za razem. Spytałam, czy mogę jakoś pomóc. Mężczyzna powiedział, że *obszedł kilka wypożyczalni i jest bardzo zdziwiony, gdyż poszukiwanej przez niego książki w żadnej nie ma*. Zapytałam: – *O jaką książkę chodzi?*, usłyszałam odpowiedź: – *O „Chłopów” Żeromskiego!* Odparłam zdumiona: – *Nie może być! Bo ich nie ma, nie istnieją! Są „Chłopi” Reymonta!* A wystarczyło po prostu spytać!

Było lato, przy ladzie kłębili się tłum, nagle podszedł mężczyzna i spytał: – *Czy pan Fryderyk Chopin już był? A może jeszcze jest?* Ku zdumieniu zebranych odpowiedziałam: – *Już wyszedł! Jak się pan pospieszy, na pewno go pan dogoni!* Nie wyśmiewam się! – Ot, i w takiej sytuacji trzeba wiedzieć, jak się zachować, a to wcale nie jest proste!

Każdy czytelnik wie, że w bibliotece obowiązuje regulamin, a za nieprzestrzeganie zasad pobierane są kary pieniężne – dziś nazwane opłatą regulaminową. W TVP puszczano stare filmy grozy, czarno-białe, wśród nich *Ja gorę* w reżyserii Janusza Majewskiego (1967) na podstawie opowiadania Henryka Rzewuskiego, w doborowej obsadzie: Kazimierz Rudzki, Jerzy Turek, Władysław Hańcza. Częstym zwrotem w filmie są słowa: – *Pan tu, panie Pogorzelski... a ja gorę!* Czytelniczka, która pewnego ranka przyszła do wypożyczalni, na pewno ten film obejrzała. Oddając przetrzymane książki, powiedziała, że miała sen, w którym owe nieoddane woluminy nawoływały: – *Ty tak sobie spokojnie śpisz, a my czekamy!* Jak widać, różne bywają motywacje przestrzegania regulaminu!

Przysłowiową wisienką na torcie było zdarzenie, którego nigdy nie zapomnę! Kobieta oddająca książki po blisko czterech latach oświadczyła, że kary nie zapłaci, nie mogła oddać książek, ponieważ była opętana! Z trudem zachowując powagę, powiedziałam, że *w regulaminie nie ma mowy o opętaniu*. *Dać wiarę słowom nie możemy; musimy mieć jakieś poświadczenie opętania, np. od egzorcysty* (o którym czytelniczka wcześniej wspomniała). Niestety egzorcysta zmarł i takowego świadectwa nie mógł przedstawić. W tej sytuacji wypadało stwierdzić, że *jest nam przykro – obowiązuje regulamin*. Kobieta wyzwała nas od niedowiarków, bezbożników i gorzej! Poległam – poprosiłam o pomoc szefową, lecz i ona nie podołała wyzwaniu, proponując czytelnicze napisanie listu do dyrektora Biblioteki. Jak się sprawa zakończyła? Nie wiem. Mogłabym snuć dalej historie – warto o nich pamiętać. Są dowodem, że każdy z nas świadomie lub nie może powiedzieć lub zrobić coś zabawnego. Wszak jesteśmy tylko i aż ludźmi! Maszyna nie dostarczy takich wrażeń i emocji!

Fot. z archiwum Autorki.



Koncerty w Bibliotece

Jakub Dera, pianista

Od roku w budynku historycznym Biblioteki Raczyńskich, w miejscu, gdzie znajduje się Filia Sztuki, wnętrza Biblioteki wypełnia muzyka grana na żywo. Cykliczne, comiesięczne koncerty, których wykonawcami są uczniowie czterech szkół wchodzących w skład Zespołu Szkół Muzycznych w Poznaniu, przyciągają do Biblioteki rzesze melomanów. Pomysłodawcą i koordynatorem koncertów jest piszący te słowa – pianista i pedagog. Każdy z koncertów ma ściśle określoną tematykę i pełni funkcję koncertu edukacyjnego, podczas którego w komunikatywny i przystępny sposób przybliżamy publiczności estetykę, idee i treści zakodowane w wykonywanych dziełach sztuki z repertuaru muzyki klasycznej wszystkich epok, a także standardów jazzowych.

W realizację koncertów włączają się renomowane instytucje kultury, takie jak Towarzystwo Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu, które było współorganizatorem listopadowego koncertu z okazji Święta Niepodległości. Wyjątkowym wydarzeniem na mapie artystycznej Poznania okazała się I edycja Festiwalu Wielkanocnego „Idea. Czas. Miejsce”, który odbył się w dniach 25–27 marca. Podczas Festiwalu z recitalem fortepianowym wystąpili: Jakub Dera (laureat konkursu im. F. Liszta w Los Angeles) i Tomasz Ritter (laureat konkursu im. F. Chopina w Warszawie) oraz uczennice Zespołu Szkół Muzycznych w Poznaniu, laureatki międzynarodowych konkursów skrzypcowych: Lucja Pych z klasy Elizy Schubert, która wystąpiła z towarzyszeniem Lucyny Olender, oraz Zofia Olesik z klasy Marcina Baranowskiego, występująca z towarzyszeniem Joanny Zathy-Wójcińskiej. Tytuł Festiwalu nawiązuje do epokowego dzieła Wasilija Kandinskiego *O duchowości w sztuce*. Biblioteka w przedwielkanocnym okresie stała się platformą wymiany myśli i uczuć dotyczących ludzkiej egzystencji, tematów eschatologicznych oraz treści zakodowanych w dziełach sztuki. Ogromne zainteresowanie publiczności festiwalowymi koncertami pokazało, iż inicjatywa ta wypełniła istotną lukę w ofercie artystycznej Poznania, a sama idea wykonywania muzyki na żywo skłania słuchaczy i czytelników do odwiedzania Filii Sztuki i korzystania z jej bogatych zbiorów. Warto podkreślić, iż wszystkie koncerty w Bibliotece są bezpłatne i stanowią wyjątkową oka-

zję do obcowania z muzyką prezentowaną przez utalentowanych uczniów, w przeważającej mierze laureatów znaczących konkursów wykonawczych oraz uznanych na arenie międzynarodowej dojrzałych już artystów. Informacje o planowanych wydarzeniach artystycznych znaleźć można na stronie internetowej oraz mediach społecznościowych Biblioteki Raczyńskich.

Fot. Michalina Nowacka.

Senioralna Wiosna u Raczyńskich

Rafał Delimata-Proch
Dział Sieci Bibliotecznej
Biblioteki Raczyńskich

Seniorzy to najszybciej powiększająca się grupa wiekowa, mająca najbardziej ograniczony – zarówno z powodu kondycji fizycznej, jak i z przyczyn finansowych – dostęp do dóbr kultury. O aktywizację tej grupy musimy jako społeczeństwo z troszczyć się najmocniej. Dlatego w jubileuszowym roku 195-lecia powstania Biblioteki Raczyńskich rozpoczynamy nowy multidyscyplinarny cykl darmowych zajęć dla osób w wieku 60+, realizowanych pod wspólną nazwą „Senioralna Wiosna u Raczyńskich”. Osią tematyczną tego nowatorskiego projektu – z uwagi na przypadającą w 2024 r. wspomnianą wyżej rocznicę założenia naszej Książnicy – jest działalność Edwarda i Konstancji Raczyńskich, historia ufundowanej przez nich Biblioteki. Seniorów zapraszamy do udziału w atrakcyjnych, dostosowanych do ich wieku i potrzeb zajęciach – od dyskusji literackich, przez warsztaty genealogiczne, introligatorskie, teatralne, po spotkanie autorskie i integracyjny spacer ulicami Poznania – od współfinansowanej przez Edwarda Raczyńskiego Złotej Kaplicy w Katedrze Poznańskiej po Plac Wolności. Seniorzy zapoznają się z historią oraz architekturą zarówno historycznego, jak i nowoczesnego gmachu Biblioteki. Zajęcia odbywają się w maju i czerwcu w sześciu filiach Biblioteki Raczyńskich, zlokalizowanych w odległych od centrum dzielnicach miasta, w godzinach popołudniowych, tak aby umożliwić uczestnictwo jak największej grupie starszych czytelników. W pilotażowym programie udział biorą filie: F2, F8, F15, F16, F35, FN. Naszym zamiarem jest, aby projekt „Senioralna Wiosna u Raczyńskich” zapoczątkował cykl corocznych kreatywnych zajęć animujących czytelnictwo wśród osób starszych, ułatwiających im uczestniczenie w życiu społecznym oraz kulturalnym, który już na trwałe zagości w ofercie Biblioteki Raczyńskich, wypełniając lukę w życiu kulturalnym Poznania, zwłaszcza dzielnic oddalonych od centrum miasta.

Projekt dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

Grafika: Paulina Nowak.





Mieć w sobie dusze w sobie. Wspomnienie o Andrzeju Sikorskim

prof. UAP dr hab. Jakub Żmizdiński
Uniwersytet Artystyczny w Poznaniu

Andrzej odszedł 11 listopada 2023 r., dokładnie w godzinie, gdy poznańscy karmelici odprawiali Mszę św. w jego intencji. Poznałem go w Klasztorze Karmelitów Bosych na Wzgórzu św. Wojciecha w Poznaniu, gdy z wieloma osobami tworzyliśmy Piwnicę Duchową, powołaną do życia przez o. Wojciecha Ciaka OCD. Był bodaj rok 2008, kiedy rozmawialiśmy po raz pierwszy. Prowadził tam comiesięczne „Dialogi poetyckie” – w ciemnej i chłodnej piwnicy klasztornej potrafił wytworzyć niezapomniany klimat spotkania i skupienia nad wierszami. Podziwiałem jego trud, entuzjazm i konsekwencję – co roku zbierał teksty do antologii bożonarodzeniowej i doprowadzał do jej wydania, a potem gromadził poetów: starych i młodych, profesorów i licealistów, na poetycką wigilię. Najpierw w piwnicach klasztoru, potem w murach VII LO im. Dąbrowskiej w Poznaniu, przy wierszach, opłatkach, herbacie i ciastkach. Od ponad 30 lat wydawana antologia i poetyckie opłatki stanowią zapewne ewenement w skali kraju, może Europy czy nawet świata! Wiedziałem, że Andrzej był poetą, nie wiedziałem, że był tak zaangażowany w poetycką pomoc innym. Sam doświadczyłem jej nie raz. Ze zdumieniem odczytuję naszą mailową korespondencję, sięgającą roku 2009: nie używał telefonu (!), ale na listy odpowiadał niemal błyskawicznie, nawet te dotyczące przesyłanych mu wierszy. Czasami też sam przysyłał wiersze-życzenia, zwłaszcza w bliskości świąt, jak w grudniu 2012 r.:

*żebyś w kącie za choinką najszybciej znalazł
wstążkę anioła z supelkiem
na świąteczne szczęście
i nic więcej*

Jego rady odnośnie poezji miały często poetycką formę: zazwyczaj nie mówił wprost, ale wyraźnie, co nie pasuje, co opuścić, albo pisał: *Za dużo nie szlifuj, można stracić „dzikość” tekstu, który ma gadać swoim, tak jak się rozdził („wychowywanie wierszy często nie kończy się najlepiej).* Wielu zachęcał do pisania i dzięki niemu niejedna osoba wydała swoją debiutancką książkę, jak choćby Robert Słotała, o innych debiutantach ledwie słyszałem. Można by go określić jako poetyckiego akuszerza: pomagał urodzić się wierszom tam, gdzie ten poród był utrudniony. Nigdy nie zapytał, co myślę o jego wierszach, w ogóle o sobie mówił jak najmniej, tak że prawie nic o nim nie wiedziałem. Gdy podesłał mi swój ostatni tomik *Niepewne*, podziwowałem wierszem:

*przysłałeś mi garść orzechów
w ciepłym brzoju lupinek
oglądam ze wszystkich stron
próbuję dotykam wacham
twarde mają skorupki
i delikatne w środku
przetrywają niejedną zimę*

Na ten list odpowiedział już po trzech godzinach: *Dzięki Jakub, tak jakoś wyszło. Teraz niepewne staje się jeszcze mniej pewne. Podziwiam orzechy, szczególnie ich mózg*

(włoskie) – tam cała pamięć drzewa. Ptaszyska, gawrony, kawki i sroki, sprytnie sobie z orzechami radzą. Ot, zwyczajnie zrzucają na bruk, beton, chodniki lub zakopują (często zapominając w którym miejscu) – takie sprytnie.

Ostatni od niego list otrzymałem w lipcu ubiegłego roku – mam nadzieję, że Andrzej nie miałby nic przeciwko jego przytoczeniu: *Jakubie, niech Twój Patron ma Ciebie w najczulszej opiece. Sił, wytrwałości, Życzliwych Ludzi wokół i doganiania tego, co (za)PISANE Tobie. Podziękowaniem, za to że jesteś, Bracie – as. PS. Oczywiście. Po powrocie, pod koniec sierpnia „pogadamy” w Emausie, a jest, JEST o czym. Odpocznij nieco! (chodzi o niedzielne audycje w Radiu Emaus w ramach cyklu: O mnie, trochę o Tobie, o nas; prócz tego prowadził jeszcze audycje dla dzieci).*

Sam chyba zbyt nie odpoczywał. Znałem go przede wszystkim jako poetę i człowieka duchowego, ale był przecież świetnym archeologiem! Nie zrobił kariery akademickiej, ale niezmordowanie kopał w ziemi, uczył studentów i zarażał entuzjazmem do wykopalisk. Jak mówiła prof. Hanna Kóčka-Krenz, miał niebywałą intuicję archeologiczną. Ostatnie lata spędził na stanowiskach w Poznaniu: Ostrów Tumski, Kolegiata, Wzgórze Przemysła. Nie zważając na pogodę i swoje 70 lat, kopał do końca.

Prócz Karmelu miał jeszcze wiele domów... Gdy wygasła Piwnica Duchowa w 2018 r., znalazł przytulne schronienie w kościółku przy ul. Żydowskiej, a jako poeta często odwiedzał Dom Literatury i Pracownię-Muzeum J.I. Kraszewskiego Biblioteki Raczyńskich przy ul. Wronieckiej w Poznaniu oraz bibliotekę VII LO, z którym intensywnie współpracował, zarażając uczniów poezją i archeologią. Co łączyło te dwie dziedziny? Być może był archeologiem poezji i poetą archeologii...

Żył poezją, chował się za nią, nic nie mówił o sobie, tylko w wierszach, tak enigmatycznych, że nikał w nich on sam, pozostawała poetycka wrażliwość spięta w ascetycznych słowach budujących nieraz intrygujące obrazy...

Kilka lat temu zaprosił mnie do udziału w wydaniu rozważań *Drogi Krzyżowej*. Wysłała z tego książeczka, a Andrzej zaproponował, bym odczytał swój tekst w jeden z wielkopostnych piątków w Karmelu. Z drżeniem głosu czytałem rozważania pisane z perspektywy Matki, a Andrzej prowadził śpiew..., ale jak on śpiewał! Byłem zaskoczony – jego głos był bardzo mocny i jakiś pierwotny, autentyczny. Było w nim coś z tradycji śpiewów wiejskich niesionej przez pokolenia, i nie był to głos szkolony. To był JEGO PRAWDZIWY GŁOS! Gdy rozmawiał, mówił zazwyczaj dość cicho, nasycał słowa subtelnymi emocjami, domieszką humoru, skrótu myślowego, metafory. Śpiew *Drogi Krzyżowej* był na serio, pełnym głosem, całym sercem. Skąd on to miał? – spytałem, uśmiechnął się tylko. Odpowiedź być może zapisał wcześniej w swojej poezji: *Jak przyjdą do nas tej nocy to ich poznam od razu, ty udawaj jakby nigdy nic i śpiewaj, tak trzeba, tak trzeba synku.*

Nie założył rodziny, rozdawał siebie wielu ludziom, miał wielu przyjaciół, wielu życzliwych ludzi wokół, ale to właśnie Andrzej budził w ludziach to, co dobre. Nie słyszałem, by kiedykolwiek mówił o kimś krytycznie. Mawiał, że *trzeba mieć w sobie dusze w sobie...* Jego przodkowie pochodzili z terenów wschodnich przedwojennej Rzeczypospolitej i choć wychował się w Pruszczy Gdańskim, część tej mentalności przeniósł do Poznania. Mieliśmy szczęście, że tu osiadł – wszystkich nas sobą ubogacał.

W ofiarowanym mi ostatnim tomiku wpisał: *niepewne, po zapisanu staje się jeszcze bardziej niepewne... – Jakubowi, z prośbą o życzliwe doczytanie.* Będę doczytywał długo, długo smakował słowa zapisane, wypowiedziane, wyśpiewane. Słowa przyjaciela poezji, przyjaciela w poezji, poetyckiego przyjaciela.

Tekst jest skróconą wersją wspomnienia opublikowanego w „Toposie” 3/2024. Fot.: Tomasz Proć.